

J. CH. ANDERSEN



BASNIE

Ilustrował
J. M. SZANCER

JMS.

DZIEJE ŻYCIA JANA CHRISTIANA ANDERSENA



DZIECIŃSTWO PISARZA

„Moja ojczyzna, Dania - pisze Jan Christian Andersen w swych pamiętnikach - jest krajem prawdziwej poezji. Pełno w nim podań i klechd, wśród ludu krążą stare, piękne pieśni. Dania ma bogatą przeszłość, dzieje jej są związane z historią Szwecji i Norwegii. Na duńskich wyspach rosną wspaniałe lasy dębowe, ziemia pokryta jest kobiercem żyta i koniczyny, które z daleka wyglądają jak ogromne ogrody. Na jednej z tych wysp zielonych, na Fionii, leży moje miasteczko rodzinne, Odense, nazwane tak od imienia pogańskiego boga Odyna, który zgodnie z legendą miał tu mieszkać...”

Odense leży nad małym, błękitnym fiordem w kotlinie, pośród niewysokich wzgórz porośniętych bujną zielenią. Wieją tu często porywiste, morskie wiatry, kołysząc koronami wspaniałych dębów, świerków i sosen.

Z daleka miasteczko ze swymi czerwonymi, opadającymi stromo dachami, z wąskimi uliczkami wśród domków tonących w zieleni przypomina kolorowe

klocki, którymi się bawią dzieci. Mały port, do którego zawijały często białe żaglowce, statki i łodzie rybackie, nadawał miasteczku szczególny urok.

Pięknie jest tu zawsze, o każdej porze roku. I zimą, gdy Fionia tonie w bieli śniegu, wczesną wiosną, gdy kra pęka na fiordzie, a po polach i sadach rozlega się głuchy jej trzask, latem, kiedy cała wyspa staje się wielkim, kwietnym ogrodem, i jesienią, gdy dookoła rozpościerają się liliowe kobierce wrzosu.

Większość mieszkańców stanowili za życia Andersena drobni kupcy i rzemieślnicy przeróżnych cechów, jak rymarze, blacharze, cieśle, stolarze. Zdarzali się między nimi prawdziwi mistrzowie z bożej łaski, co to z drzewa umieli wystrugać prześliczne figurki, świątki, kapliczki przydrożne i wiejskie kościółki. Łodzie rybackie, które zawijały do pobliskiego portu, ozdobione były kolorowymi bożkami i świątkami wyrzeźbionymi z drzewa. Na niektórych statkach już z daleka lśniła w słońcu postać Neptuna, władcy mórz, z trójzębem w ręku, na innych znów można było zobaczyć herb Danii przedstawiający trzy lwy pośród dziesięciu serc.

Tutaj w Odense, na wyspie Fionii, zwanej ogrodem Danii, w małej izdebce, w której najwięcej miejsca zajmował warsztat szewski ojca, 2 kwietnia 1805 roku przyszedł na świat największy baśniopisarz świata, Jan Christian Andersen. Często będzie do niej wracał wspomnieniami jako do miejsca, gdzie spędził najwcześniejsze swe lata, często w trudnych chwilach życia będzie marzył o miłości, która mimo nędzy opromieniła dni jego dzieciństwa.

„Jedna mała izdebka, zapchana warsztatem szewskim, łóżem i ławą składaną, na której spałem, stanowiły mój świat dziecięcy. Ale ściany były zawieszane obrazami, na skrzyni stały piękne naczynia miedziane, szklanki i bibeloty, a obok warsztatu, przy oknie, znajdowała się półka z książkami i nutami. W malutkiej kuchence przy spizami wisiała półka cynowa pełna talerzy. Ta niewielka przestrzeń wydawała mi się ogromną i wspaniałą. Nawet drzwi, w których wnękę ozdobił jakiś krajobraz, miały wtedy dla mnie tak wielki urok, jak dziś cała galeria obrazów” - pisze po latach Andersen w swych wspomnieniach.

Z tego ubożuchnego domostwa rodzicielskiego wyniósł Andersen piękne i wzruszające wspomnienia. Ulubionym jego kącikiem był na przykład maleńki ogródek warzywny matki, mieszczący się... w jednej skrzynce z ziemią.

„Z kuchenki można było po drabinie przedostać się na strych, gdzie w rynnie, która łączyła nasz dom z domem sąsiada, znajdowały się skrzynie z ziemią. Rosła tu marchew, szczypiorek i pietruszka, cały ogród mojej matki...”

Ten skromny ogródek do dziś jeszcze kwitnie w baśniach poety.

Oto jak Andersen pisze o nim w „Królowej Śniegu”:

„Nie każdy może mieć ogród w wielkim mieście, gdzie jest tyle domów, a w nich tyle rodzin. Większość mieszkańców musi poprzestać na doniczkach z kwiatami. Dwoje ubogich dzieci, o których mowa w tej opowieści, zdobyło sobie jednak coś więcej niż doniczkę, bo niemal ogród. Rodzice ich mieszkali naprzeciw siebie w uliczce tak wąskiej, że dachy domów stykały się prawie ze sobą i można było zupełnie bezpiecznie przejść z jednego końca rynny na drugi i składać sobie nawzajem wizyty.

W przeciwległych oknach stały duże skrzynie z ziemią. Rosły tu warzywa potrzebne do kuchni, a ponadto w każdej ze skrzyń zasadzono krzak róży. Rodzice wpadli na pomysł, by postawić te skrzynie na desce w poprzek ulicy, od okna do okna, co stanowiło wielką ozdobę, gdyż pędy grochu i gałęzie różanych krzaków powiązały się ze sobą tworząc jakby łuk triumfalny”.

Na dachu uwiła sobie gniazdo bociana rodzina. Każdy odlot ptaków na zimę budził w małym chłopcu tęsknotę za dalekimi krajami, o których opowiadał mu ojciec.

Ojciec przyszłego pisarza był młodszy od swej żony. Miał zdolności i zamiłowania artystyczne, nie mógł ich jednak rozwinąć z powodu ciężkich warunków życia.

„Mój ojciec, Jan Andersen, we wszystkim pozostawiał mi zupełną swobodę, kochał mnie nad życie. Cały swój wolny czas i wszystkie niedziele poświęcał na to, by dla mnie majstrować zabawki i obrazki. A wieczorami czytał mi często na głos” - pisze autor „Brzydkiego kaczątka”.

Ojciec siadał na posłaniu i czytał synowi bajki Lafontaine’a¹ lub „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. A czasami odkładał książki i sam opowiadał mu różne, przedziwne historie, których nasłuchiwał się na wsi jako młody chłopiec.

„Pamiętam dziś jeszcze - pisze Andersen - jakim blaskiem jaśniała wtedy jego twarz”. Zapewne ojciec Andersena w baśniach odnajdywał to, za czym tęsknił, czego nie mógł znaleźć w swym ubogim warsztacie szewskim. Marzeniem jego były książki, szkoła, nauka, sztuka, lecz bieda nie pozwoliła mu się kształcić. Rodzice oddali go do szewca jako terminatora i wszystkie marzenia młodego chłopca pozostały nie spełnione.

„Byłem jeszcze bardzo mały - wspomina poeta - kiedy pewnego razu zjawił się u nas jakiś student, chcąc oddać buty do naprawy. Ojciec poprosił go, aby mu

¹ Jean Lafontaine (czyt. Lafąten); 1621-1695 - słynny francuski autor bajek z morałem.

pokazał swoje książki. Długo trzymał je w ręku, oczy zaszkliły mu się łzami. »Ja także chciałem obrać tę drogę« wyszeptał i mocno mnie ucałował”.

W ten sposób niejako powierzał i przekazywał ukochanemu synowi swoje najgorętsze marzenia.

„Ojciec rzadko spotykał się ze znajomymi, w niedzielę chodził ze mną do lasu. Prawie wcale nie rozmawiał wtedy ze mną, tylko siedział cicho, pogrążony w rozmyślaniach, a ja skakałem, nizałem poziomki na słomkę albo wiałem wieńce z kwiatów. Tylko raz w roku, a było to w maju, kiedy las pokrywał się zielenią, szła z nami również matka...”

Anna Maria Andersdatter, matka Andersena, różniła się bardzo swym usposobieniem od męża. Gdy ten lubił ciszę i pogrążony w marzeniach i rozmyślaniach siedział przy swoim warsztacie szewskim naprawiając buty, każdą zaś wolną chwilę spędzał na czytaniu lub majsterkowaniu, matka, bardziej praktyczna, więcej z życiem codziennym związana, krzątała się i pracowała bez wytchnienia, wiecznie czymś zajęta, zatroskana, zabiegana, sterana życiem i biedą. W domu panowała wzorowa czystość, która była chlubą tej pracowitej kobiety. Jedyne luksusy, na jakie sobie pozwalała w swym nieradosnym życiu, to kwiaty, które hodowała z zamiłowaniem w skrzynkach i doniczkach.

Niewiele czasu mogła poświęcić synowi. Zajęta prowadzeniem ubożego gospodarstwa, bieganiem na posługi do bogatych mieszkańców Odense, nie zawsze mogła okazywać dziecku twarz pogodną i wesołą.

Już jako mała dziewczynka miała ciężkie i smutne życie. Wyganiana z domu przez nędzę, musiała całymi dniami, nie zważając na mróz czy słońce, chodzić po prośbie. A raz, kiedy nic nie użebrala, bojąc się powrotu do domu, przesiedziała całą noc płacząc pod mostkiem przerzuconym nad strumyczkiem w Odense.

Marzeniem ojca Christiana Andersena było żyć na wsi, blisko pól i łąk. Raz nawet zdawało się, że los uśmiechnie się do biednego szewca i spełni te jego gorące życzenia. Właśnie bowiem w jednym z majątków na wyspie Fionii poszukiwano na stałe szewca. Szczęśliwego wybrańca losu czekał tam domek w ogrodzie i mała łączka na wypas krowy. Jakież piękne marzenia snuli w związku z tym rodzice Andersena! Mały Christian widział się już w złotej karecie zaprzężonej w ogniste rumaki.

Pewnego razu zjawiała się w domku szewca sama pani ze dworu, by na próbę zamówić u niego parę atłasowych pantofelków na bal.

Pamiętny na zawsze był ów dzień, kiedy ojciec uroczyście zawinął nowo zrobione pantofelki w chustkę i wyruszył do pałacu, by oddać je dziedzicze. Długo

wlokły się godziny oczekiwania. Niespokojnie wypatrywali ojca oboje z matką i zrywali się na każdy odgłos kroków. Już dawno zmierzch zapadł, a szewca ciągle nie było widać. Nagle rozwarły się drzwi i ojciec w milczeniu wszedł do izby. Był blady i znużony. Drżącymi rękami rozwiązał węzełek i cisnął na stół pocięte kawałki atlasu i skóry. Pani ze dworu zaledwie raczyła rzucić okiem na pantofle. Nie wzięła ich nawet do ręki, tylko krzywiąc się powiedziała, że są nieładnie wykończone, mają niemodny fason i dlatego nie może ich przyjąć. Wówczas ojciec drżąc z gniewu zaczął kozikiem ciąć skórę i jedwab na kawałki.

„Niech więc stracę wszystko, i robotę, i materiał, niech będzie moja krzywda!”

Z tymi słowy opuścił dwór i pożegnał swoje długo piastowane nadzieje na poprawę losu.

Nadeszły czasy wojen napoleońskich. W Danii, która stała po stronie Francji przeciw koalicji antynapoleońskiej, zaroilo się od wojska.

Ojcu Jana Christiana warsztat szewski wydał się nagle za ciasny. Pragnął dokonać wielkich, bohaterskich czynów. Z napiętą uwagą śledził codziennie wiadomości o przygotowaniach do wojny, w końcu zaś porzucił swój dom i miasteczko i zaciągnął się pod sztandary cesarza Francuzów. Było to w roku 1812.

Wojna zakończyła się rozejmem. Ojciec Andersena wrócił do Odense i znów jak dawniej zasiadał przy swoim warsztacie. Zdawało się, że nic pozornie nie zmieniło się w domku przy ulicy Munkemollestroede, życie płynęło tu cicho i spokojnie. Znów słychać było rytmiczne uderzenia młotka, a mały Andersen w kącie bawił się w teatr ustawiając kukielki wystrugane przez ojca. Jedynym gościem, widzom teatralnym, był wiemy kot imieniem Karol. Jemu najczęściej zwierzał się Jan Christian ze swoich pomysłów i pragnień.

Od czasu do czasu stuk młotka ucichał, w izbie stawało się głucho i straszno; ojciec zamyślał się nad czymś głęboko, a po jego chudych policzkach spływały łzy. Od czasu gdy wyruszył na wojnę, stał się jeszcze bardziej milczący i smutny. Zdrowie jego mocno ucierpiało na skutek trudów wojennych, siły opuszczały go coraz bardziej. Niedługo też po krótkiej chorobie zmarł w 1814 r.

Śmierć ojca była dla chłopca straszliwym ciosem. Odtąd smutek i nędza nie opuszczały małej izdebki. Matka od świtu do nocy ciężko pracowała, prała i sprzątała u obcych ludzi, byle zarobić na chleb dla siebie i syna.

Były to lata szczególnie ciężkie dla Danii. Wojna doprowadziła ją do zupełnego zubożenia, a szczególnie dotkliwie odczuły to najniższe warstwy ludności. Głód stał się częstym gościem w domu ubogiej wdowy.

Nieraz latem, po żniwach, matka zabierała chłopca ze sobą w pole, aby w tajemnicy przed ekonomem zebrać pozostawione przez żniwiarzy kłosa. Chleb stał się bowiem dla biedaków rzadkim przysmakiem.

Najpiękniejsze chwile swego życia spędzał chłopiec u babki. Pracowała ona w ogrodzie szpitalnym jako robotnica. Wnuk pomagał jej nieraz przy pieleniu chwastów. Tu, w tym właśnie szpitalu, znajdował się jego dziadek, nieszczęśliwy, chory umysłowo starzec.

Często po ukończeniu pracy babka zabierała wnuka do siebie. Siadała w starym wytartym fotelu i zaczynało się opowiadanie baśni. Może właśnie wtedy, gdy tak słuchał z zapartym tchem głosu babki i przenosił się myślą w szczęśliwy, fantastyczny kraj wspaniałych możliwości, narodził się w nim przyszły, najślawniejszy baśniopisarz świata.

Andersen słuchał baśni z prawdziwym zachwytem, a babka wydawała mu się czarodziejką, dobrą wróżką. Pod wpływem jej słów otaczające chłopca sprzęty nabierały życia w jego wyobraźni i prowadziły ze sobą długie rozmowy. Ściany ubogiej izby zamieniały się we wspaniałe pałace, wszystko wydawało się zaklęte. Stojący na kredensie stary imbryk opowiadał historię swej młodości, a wtórowały mu filiżanki, garnuszki, stoliki i stara ławka pod oknem.

Zardzewiała igła do cerowania, kropla wody, stłuczona szyjka od butelki z opowiadań babki, wszystko to ożyje kiedyś na kartach książek Andersena. Nawet starą latarnię uliczną, która oświetlała nędzną izbę babki, uwieczni w jednej z swych baśni.

Nigdy rzecz żadna nie była dla niego martwym przedmiotem, każda snuła marzenia o szczęściu, które tak trudno w życiu osiągnąć, każda budziła współczucie, litość i sympatię. Fantazja prawdziwego poety osnuwa cały ten świat andersenowskiej baśni delikatną tkanką liryzmu.

Znajomość baśni ludowych zawdzięcza poeta babce. Pamięci tej, która opromieniała mu smutne dzieciństwo i natchnęła do pisania baśni, Andersen poświęcił wiele pięknych kart swej twórczości. W baśni pt. „Kalosze szczęścia” tak o niej pisze:

*By mi dogodzić, gdym prosił o czary,
Dała mi babcia swoje okulary.
„Idź w takie miejsce, gdzie jest ludzi wiele,
I poprzez szkiełka oglądaj ich śmieje,
Myśli ich staną przed tobą jak karty,*

*Z łatwością poznasz, co każdy z nich warty.*²

Ale były to rzadkie chwile szczęścia w szarym życiu małego chłopca. Przeważnie bowiem bywał samotny i pozostawiony tylko sobie. Lubił wędrować całymi dniami po okolicznych polach i zagajach, chodzić nad fiord, do portu, przypatrywać się wszystkiemu i marzyć o dalekich podróżach.

W osadzie rybackiej, leżącej nad brzegiem fiordu, poznał kiedyś Andersen starszego marynarza, który całe swe życie spędził na morzu. Samotny, wyrosnięty chłopak, o chudej twarzy, płowych włosach i błękitnych oczach zwrócił na siebie uwagę tego wilka morskiego. Zaprzyjaźnili się wkrótce. Marynarz opowiadał mu o morskich dziwach, wielkich rejsach i różnych przygodach. Pokazywał wystrugane przez siebie z drzewa okręciki zaopatrzone w banderę i małe armatki, postacie majtków, kapitana, sternika, a nawet ogromnego, kolorowego Neptuna z trójzębem. Kiedy jakiś większy statek zawijał do portu, stary za pomocą specjalnej maszyny wprawiał w ruch swych drewnianych żołnierzyków, maleńkie armatki strzelały na wiwat, Neptun wywijał trójzębem, a niebieskie jak niebo oczy marynarza śmiały się wesoło. Były to niezapomniane chwile dla obu samotników, starca i dziecka.

Dziwne zachowanie się Jana Christiana, jego samotne wędrówki po okolicach miasta, głośne rozmowy z lalkami i kukielkami własnego, maleńkiego teatrzyku, recytowanie jakichś wierszy i scen dramatycznych, unikanie rówieśników, wszystko to coraz bardziej zaczęło napawać matkę i babkę lękiem o przyszłość chłopca.

Wreszcie matka oddała go do szkoły dla młodszych dzieci pana Feddera Carstena przy Munkemollestroede. Nauczyciela swego wspomina Andersen z wielkim rozrzewnieniem. Opiekował się nim szczególnie i często bronił przed napaściami rozbawionych kolegów. Ale na ogół źle wiodło się przyszłemu pisarzowi na ławie szkolnej. Koledzy poszturchiwali go, wyśmiewali się z niego, stroili sobie żarty nawet z jego zamiłowania do wierszy i teatru, przezywali go wariatem, dotykając bolesnej sprawy chorego dziadka.

„Stałem się tak zalękniony i przybity - pisze poeta o tych pierwszych latach szkolnych - że byłem jak ten zablakany ptak w izbie; jedna tylko dusza była dla mnie przyjazna i dobra, była to młoda dziewczyna, która się wraz z innymi przygotowywała do konfirmacji - panna Tönder Lund, uchodząca za najwytworniejszą i najbardziej podziwianą przez wszystkich. Jedyne ona spoglądała na mnie

² Przekład wiersza z wydania J. Ch. Andersen „Baśnie” PIW, Warszawa 1956.

łagodnie, witała mnie przyjaznym »dzień dobry«, a nawet raz dała mi różę. Wróciłem wtedy do domu szczęśliwy, że jest ktoś na świecie, kto zwrócił na mnie uwagę i nie odepchnął od siebie”.

Niedługo uczył się Andersen w tej małej szkółce. Ponieważ nie było czym opłacać dalszej nauki, pożegnał się więc wkrótce z zakładem pana Carstena.

Po wielu latach, gdy Andersen zdobył już światową sławę, stary, siwy Carsten, oprowadzając licznych gości zwiedzających Odense, zwykł zawsze mawiać:

„Tak, tak, na pewno państwo mi nie uwierzycie, że ja, biedny, stary człowiek, byłem pierwszym nauczycielem naszego najślawniejszego poety”.

Wróćmy jednak do dalszych kolei życia Jana Christiana.

Babka z matką po naradzie rodzinnej postanowiły oddać chłopca do warsztatu sukienniczego. Lecz i tu długo nie zagrzał miejsca. Najmłodszy z wszystkich pracowników, ogromnie przy tym nieśmiały i niezaradny, był przedmiotem nieustannych szturchańców i kpin ze strony majstra i czeladników.

I znów samotny, dwunastoletni chłopiec zaczął się snuć po miasteczku z głową nabitą marzeniami o teatrze, o wierszach i dramatach, o sławie czekającej na niego w dalekim świecie. Pragnął wydostać się z Odense, wyjechać do stolicy, jakby czuł, że tam spełnią się jego marzenia. Ale przedtem trzeba było coś umieć, czegoś się nauczyć, ukończyć szkoły. Z zazdrością spoglądał na szczęśliwców uczęszczających do gimnazjum, do którego nie każdy miał dostęp, a które było czymś nieosiągalnym dla syna ubogiego szewca. Gimnazjaliści darzyli Andersena pogardliwym uśmiechem.

„Ilekroć bawili się na podwórzu - pisze później poeta - stawałem przed zakratowanymi wrotami, zaglądałem przez szparę i marzyłem o tym, aby znaleźć się wśród chłopców nie po to, by bawić się wraz z nimi, lecz by móc czytać te wszystkie książki, które były ich własnością, a także dlatego, że przed nimi stał cały świat otworem”.

Musi czymś zostać, musi uciec stąd, tak dalej być nie może. Myśli te nie dawały mu spokoju. A może zostać wielkim śpiewakiem, może aktorem, dramaturgiem, poetą?

Miał wówczas dźwięczny, chłopięcy głos, więc zaczął śpiewać. Posłuchajmy znów pamiętnika pisarza:

„Stawałem na niewielkim kamieniu, który służył mej matce jako deska do prania bielizny nad rzeczką, i śpiewałem na wolnym powietrzu wszystkie pieśni, jakie tylko znałem. Często były to słowa bez związku i melodie, jakie przychodziły mi wówczas do głowy”.

Przez krótki czas uczęszczał do szkółki dla biednych, gdzie uczono religii, czytania, pisania i rachunków. I tu także nie dano mu spokoju. Pewnego razu, po lekcjach, otoczyła go cała zgraja chłopaków; potracali go, bili, śmiejąc się wskazywali nań palcami: „To ten, co pisze wiersze i komedie! Patrzcie, patrzcie, on skończy jak dziadek!”

W 1818 roku matka Christiana wyszła po raz drugi za mąż za Nielsa Gundersena, który objął po ojcu warsztat szewski. Rodzina zaczęła się znowu zastanawiać nad losami Janka i wspólnie uradziła, że odda się go na naukę do krawca.

Terminował tedy Jan Christian u mistrza krawieckiego w Odense, ale ani na chwilę nie opuszczały go marzenia o scenie. Odkładał grosz do grosza ze swoich skromnych oszczędności i całymi wieczorami przesiadywał nad książką. Pożywała mu je pani Bunkeflod, wdowa po pastorze, dzięki której zapoznał się Andersen z przekładami dramatów Szekspira³. Było to wielkim przeżyciem dla młodego chłopca snującego rojenia o teatrze.

Wszystko, co od tej chwili czyni, wszystko, o czym myśli, podporządkowane jest jednemu celowi - przygotowaniom do wyjazdu z Odense. Ten nieśmiały, ośmieszany przez swych rówieśników chłopiec zdobywa się na odwagę i odwiedza jednego z najbardziej poważanych obywateli w Odense, księgarza Iversena. Zwierza mu się ze swych planów i otrzymuje od niego list polecający do znanej tancerki, pani Schall, w Kopenhadze. Andersen ma już odłożoną skromną sumkę - dziesięć talarów; wydaje mu się, że posiada dostateczne środki na wyjazd. Zwierza się matce ze swego postanowienia. Musiała wyczytać w oczach syna jakąś niezłomną chęć i upór gotowy przełamać wszelkie przeszkody, bo w końcu ustąpiła, chociaż z ciężkim sercem, pełna obaw i troski o los swego jedynaka.

„Zbliżał się ostatni dzień mego pobytu w domu - pisze Andersen. - Matka, zapłakana, układała moje rzeczy w małym węzełku. Umówiła się z pocztylionem, który za trzy talary wziął mnie ze sobą jako tak zwanego pasażera na gapę. Matka z babką odprowadziły mnie do bramy miejskiej. Rzuciły mi się na szyję i zapłakały”.

Babki już więcej nie ujrzał. Umarła po roku.

„Pocztylion dał trąbką znak odjazdu. Było piękne, słoneczne popołudnie, toteż zrobiło mi się wkrótce lżej na duszy.

³ William Szekspir (1564-1616) - największy dramaturg angielski, którego utwory są znane na całym świecie.

Wszystko było dla mnie nowe i cieszyło mnie ogromnie. Jechałem przecież naprzeciw wytęsknionemu celowi. Kiedy jednak byłem już w Nyborgu, a okręt oddalał się coraz bardziej od mej rodzinnej wyspy, dopiero wtedy poczułem się samotny i opuszczony...”

W KOPENHADZE

Było to w poniedziałek 5 września 1819 roku, gdy z ubogim węzełkiem w ręku i dziesięciu talarami w kieszeni znalazł się czternastoletni Jan Christian sam w wielkim mieście, w stolicy Danii, Kopenhadze.

Ulice są opustoszałe tego wrześniowego poranku, a nieliczni przechodnie zatrzymują się na widok dziwnie przyodzianego chłopca. Jakże śmiesznie musiał wyglądać pośród schludnych, pięknych ulic i domów w swym olbrzymim, szerokim kapeluszu ojcowskim, który zakrywał mu oczy, w wytartym, przydługim jego surducie, w ciężkich buciorach i za dużych na niego ojcowskich spodniach. Był to najlepszy przyodziewek, w jaki mogła go zaopatrzyć biedna matka. Pierwszą noc spędza w tanim domu zajezdnym, w nędznej klitce na stryszku.

Nazajutrz już od świtu rozpoczyna swą wędrówkę po mieście, w poszukiwaniu pracy. Pierwsze kroki kieruje w stronę Teatru Królewskiego.

Dyrektor teatru, pan Holsztein, przyjął go z niemałym zdumieniem i długo przyglądał się chudemu, blademu chłopcu o osobliwym wyglądzie i jeszcze dziwniejszym stroju, który na zapytanie, co go tu sprowadza, zawołał:

„Chcę grać na scenie, w prawdziwym teatrze!”

Zapał chłopca nie udzielił się widać dyrektorowi, który odprawił go szorstko, mówiąc, że do Teatru Jego Królewskiej Mości nie można angażować dzieci z ulicy, bez wykształcenia.

Samotny, pozbawiony jakiegokolwiek oparcia, błądzi znów Andersen po ulicach Kopenhagi. Za wysupłane z węzełka ostatnie grosze, które mu pozostały po opłaceniu noclegu, kupił bilet do teatru. Wystawiano wówczas operę pt. „Paweł i Wirginia”.

Przez cały czas trwania akcji chłopiec nie może oderwać oczu od sceny, śmieje się i płacze ze wzruszenia i tak żywo reaguje na wszystko, że zwraca na siebie powszechną uwagę. Jedna z pań widząc zapłakanego, wynędzniałego wyrostka wsunęła mu do ręki kromkę chleba z masłem. Był to pierwszy posiłek Andersena tego dnia.

Następnego dnia od rana znów wyrusza na miasto. Szuka mieszkania pani

Schall, tancerki Teatru Królewskiego. W rękę trzyma kurczowo pismo do niej, które dostał od księgarza w Odense. Po długiej wędrówce znalazł się wreszcie przed jej drzwiami. Z lękiem dotknął dzwonka i padł na kolana modląc się żarliwie. Właśnie przechodziła służąca i widząc klęczącego wcisnęła mu monetę do ręki. Wzięto go za żebraka.

Andersen jest w rozpacz. Dzwoni ponownie. Tym razem wpuszczają go do domu. Przyjmuje go sama pani Schall. Jan Christian wręcza jej bilet polecający od pana Iversa. Ale tancerka przeczytawszy pismo, patrzy na chłopca ze zdumieniem. Nie przypomina już sobie, by znała kiedykolwiek księgarza z Odense. Andersen bojąc się, iż znów zamkną drzwi przed nim, błaga ją rozpaczliwie, by pomogła mu dostać się do teatru. To wszystko wydaje się pani Schall nieprawdopodobne, ale zgadza się na to, by chłopiec zagrał przed nią jakąś scenę. Chłopak, dla którego wielkim przeżyciem w Odense było przedstawienie „kopciuszką”, zdejmuje ciężkie buciory i rozpoczyna taniec z tej sztuki.

Aktorka i jej goście są coraz bardziej zdumieni, a nawet lekko przerażeni. Andersena jakby opuściła nieśmiałość, nie patrzy na nikogo, wywija rękami, tańczy i śpiewa wystukując rytm na swym kapeluszu jak na bębnie. Musiał wyglądać śmiesznie i niesamowicie, bo pani Schall odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy już ten dziwny tancerz zniknął za drzwiami.

Zrozpaczony, głodny, bez dachu nad głową, błąka się po ludnych, jasno oświetlonych ulicach wielkiego miasta. Przypadkowo spotkana, a poznana jeszcze na statku jadącym z Nyborga do Kopenhagi, pani zaopiekowała się nieszczęśliwym, samotnym chłopcem i oddała go do terminu u stolarza. Za łyżkę stawy i nędzne posłanie Jan Christian zostaje popychadłem całej rodziny majstra, narażony na upokorzenia, kuksańce, wymysły i kpiny. Andersen czuje, że niczego się tu nie nauczy, że dłużej tych ponizeń i szturchańców nie zniesie. Opuszcza stolarnię i znów rozpoczyna na nowo swą walkę o życie i sławę.

Jeszcze wiele musi wycierpieć, wiele znieść upokorzeń, ciężko naborykać się z losem, zanim zwycięży.

Czego się nie chwycił w tym ciężkim okresie, by utrzymać się przy życiu! Niekiedy ogarniała go taka rozpacz, że chciał rzucić wszystko i wracać do Odense, innym znów razem nawiedzały go myśli samobójcze. Lecz niezłomne postanowienie przetrwania za wszelką cenę i głęboko ukryta, ale niezwalczona wiara w przyszłość wstrzymały go od tego rozpaczliwego kroku. Siła woli, hart ducha, miłość sztuki i mocne pragnienie służenia jej są jego sojusznikami w tych nierównych zapasach.

Podczas jednej ze swych wędrówek po mieście o głodzie i chłodzie przeczytał na afiszach nazwisko dyrektora konserwatorium muzycznego w Kopenhadze, pana Siboniego. Dowiaduje się o nazwę ulicy, gdzie mieści się uczelnia muzyczna. Szybko, szybko, jakby gnany nieznaną siłą pędzi przez miasto. Po długim błędzeniu odnajduje wreszcie mieszkanie Siboniego. Jest pora obiadowa. Już na schodach dolatuje go gwar głosów. Dzwoni. Gospodyni wpuszcza go do salonu. W dużym pokoju, pełnym obrazów, nut i książek zobaczył liczne towarzystwo[^] W większości kompozytorzy i muzycy. Wszyscy z ciekawością spoglądają na chłopca, który jękając się, blednąc i czerwieniejąc na przemian błaga o przyjęcie do konserwatorium.

Siboni siada do fortepianu. Andersen zaczyna śpiewać. Odtwarza sceny z utworów znanego duńskiego poety, Ludwika Holberga, recytuje jakieś wiersze. W końcu jest tak wyczerpany, że wybucha głośnym łkaniem. Wszyscy obecni są mocno wzruszeni. Siboni przyrzeka mu, że uczyni wszystko, aby wykształcić go na śpiewaka chóru królewskiego. Zatrzymuje Andersena u siebie. Zaczynają się codzienne ćwiczenia głosu i próby tańca w balecie.

Mija kilka miesięcy. Już wydawało się, że los uśmiechnął się do Jana Christiana. Tym boleśnieszyszy był cios, który go dotknął. Przeszedł mutację i stracił swój jasny, dźwięczny, piękny głos. Częste przeziębienia i chryпки z powodu podartych butów dokonały reszty.

Następuje smutna scena, kiedy Siboni wręcza mu trochę pieniędzy na drogę, żegna się z nim i radzi wracać do Odense, aby tam nauczył się jakiegoś rzemiosła.

Datę rozstania się z Sibonim i teatrem będzie pamiętał przez długie lata:

„Było to pod koniec sezonu teatralnego w maju 1822 roku, kiedy otrzymałem z dyrekcji teatru drugi list, w którym doniesiono mi, że rezygnują ze mnie z dniem dzisiejszym, i to zarówno w odniesieniu do szkoły, chóru, jak i tańców”.

Jan Christian i teraz się nie poddaje. Każdą wolną od zarobkowych, dorywczych zajęć chwilę spędza na czytaniu. Niemal codziennie zjawia się w bibliotece publicznej w Kopenhadze wysoki, blady chłopiec z jasnymi włosami, o jasnoniebieskich oczach, nędznie odziany, który przez długie godziny siedzi tak zatopiony w lekturze, że nieraz nie słyszy dzwonków wzywających do opuszczenia sali czytelnianej. Pochłania dzieła Waltera Scotta, czyta Szekspira.

Rzeczywistość oddalała się wówczas coraz bardziej od niego, Andersen zapomniał o głodzie, chłodzie, samotności i niepewnym jutrze.

„To nic - powtarza sobie z uporem - napiszę taki utwór sceniczny, że będą się

musieli ze mną liczyć”.

Pisze wtedy swój pierwszy dramat pt. „Słońce elfów”. Przypadkowo dowiaduje się, że tłumacz dzieł Szekspira, pan Wulff, mieszka w Kopenhadze. Nie namyślając się długo, biegnie do niego.

Trzymając rękopis w drżących rękach wyrzuca z siebie jak w gorączce słowa, które Wulff w dniach sławy Andersena kiedyś mu przypomniał:

„Pan tłumaczył Szekspira? Ogromnie lubię tego poetę, ale ja też napisałem dramat, musi mnie pan wysłuchać”.

Po czym jednym tchem czyta mu swój utwór, a kiedy kończy czytanie, żegna się słowami: „Czy naprawdę nic ze mnie nie będzie, tak bym pragnął stać się kimś”.

Dzięki poparciu ze strony życzliwych sobie ludzi dramat „Słońce elfów**” zostaje przesłany wraz z przychylną oceną do Teatru Królewskiego. Utwór ten nie był na pewno arcydziełem, lecz zdradzał pewien talent młodocianego autora. Przekazanie go w ręce radcy dworu, pana Jonasa Collina, ówczesnego dyrektora Teatru Królewskiego, było szczęśliwym dla Andersena przypadkiem.

Pan Collin zainteresował się utalentowanym zapaleńcem i zdobył dla niego u króla Fryderyka VI stypendium. To była jedyna właściwa w tym wypadku i rzetelna pomoc. Pan Collin umożliwił Andersenowi uczęszczanie do gimnazjum: Wybrał zakład w Slagelse.

W dzień przed wyjazdem do tego miasta zjawił się Andersen u swego opiekuna, by się z nim pożegnać. Radca życzył mu powodzenia w nauce i prosił, by mu szczerze i otwarcie pisał o tym, jak mu się w nowej szkole będzie wiodło.

Był piękny, jesienny dzień, 26 października 1822 roku, kiedy siedemnastoletni Andersen znalazł się w dyliżansie pocztowym wiozącym go do Slagelse. Radosny i pełen wielkich nadziei wysłał list do matki, donosząc jej o swym niespodziewanym szczęściu.

SLAGELSE I HELSINGÖR

Już od pierwszych dni pobytu w szkole, do której wrywał się całą duszą, doznaje Andersen przykrego zawodu.

„Otrzymałem miejsce w szkole - pisze - wśród uczniów jednej z najniższych klas, gdyż absolutnie nie miałem o niczym zielonego pojęcia i byłem naprawdę jak dziki ptak, którego umieszczono w klatce”.

Zamieszkał u pewnej wdowy w malutkiej klitce na poddaszu. Niskie okienko

wychodziło na rozległe pola i widok ten był dla młodego gimnazjalisty jedynym ukojeniem w smutnym okresie jego lat szkolnych. Nauka szła mu ciężko, mimo iż miał duże zdolności i właściwie mógłby szybko nadrobić swe braki i opóźnienia. Tłumiła wszystko jednakże nieprzyjazna atmosfera, która go od samego początku otoczyła w Slagelse.

Podczas lekcji narażony był na drwiny ze strony kolegów, a często i niektórych wykładowców, których niecierpliwił ten nadmiernie wyrosnięty młodzieniec, z takim trudem, z tak wielkimi oporami przyswajający sobie wiedzę szkolną. Jego chorobliwa wprost nieśmiałość czyniła go jeszcze bardziej niezgrabnym, a dość szczególna, odmienna wymowa i akcentowanie słów budziły wśród jego kolegów śmiech i szyderstwo. Stał się w tych warunkach jeszcze bardziej zalękniony, milczący i zamknięty w sobie. Lecz Jan Christian zaciął się i nie ustawał w pracy. Na swym poddaszu do późnej nocy przesiadywał nad książkami.

„Miałem najszczerzą chęć, by się czegoś nauczyć, lecz wówczas szedłem jeszcze jak po omacku, zachowywałem się jak człowiek nie umiejący pływać i rzucony na pełne morze. Jedno było dla mnie ważne - za wszelką cenę posuwać się naprzód. Fala za falą pochłaniały mnie i zatapiały, jedna nazywała się matematyką, druga gramatyką, geografiją itd.”

Wkrótce usilna praca zaczęła wydawać owoce, Andersen czyni widoczne postępy. Nawet i wtedy jednak nie spotkał się z życzliwością ze strony otoczenia, nikt nie podszedł do niego z dobrym słowem, nie podniósł go na duchu, nie zachęcił do dalszych wysiłków.

Rektorem szkoły był Szymon Meisling, człowiek surowy i zgryźliwy. Był postrachem uczniów, a nawet i nauczyciele bali się jego humorów, kąśliwego języka, drwin i złośliwości. Do Jana Christiana poczuł od pierwszej chwili żywą niechęć i obrał go sobie za cel swych docinków i ironicznych uwag.

W chwilach szczególnie ciężkich marzy się Andersenowi dom rodzinny i matka, której jeszcze ani razu od czasu wyjazdu nie odwiedził.

„Na samą myśl o odwiedzinach - wspomina - przeszłość i przyszłość stanęły przede mną jakby słońcem prześwietlone. Czułem się tak bogaty i szczęśliwy, serce moje przepełnione było radością i tęsknotą”.

Z małym węzełkiem w ręku, naprzód statkiem, a potem piechotą odbywa swą podróż ze Slagelse do Odense. W czasie tej wędrówki wydawało mu się, że po raz pierwszy ujrzał swą ojczyznę. Nie może nasycić oczu widokiem malowniczych miasteczek rozrzuconych na zielonych wysepkach. Już ma przed sobą

Svendborg, które, tak jak Odense, leży na Fionii. Mija tonące w zieleni wsie rybackie, wchłania w siebie słony zapach rozwieszonych na wierzbach sieci. Gdy słońce zapadło, rozległy się ze wszystkich stron dźwięki dzwonów, wydawało mu się nawet, że słyszy dzwon starego kościółka Św. Kanuta w Odense. Z daleka błyszczą ognie przy brzegu zatoki, to rybacy szykują się do nocnego połowu węgorzy.

Jakżeż mu to bliskie i drogie, jakże dobrze znane! Coraz bardziej zacierają się w sercu gorzkie wspomnienia związane ze szkołą. Radość przywitań, szczęście matki dumnej ze swego syna-gimnazjalisty pozwalają zapomnieć o cierpieniu i smutku.

Nigdy nie dowiedziała się matka, ile głodu i upokorzeń zniósł jej syn w Kopenhadze ani też o tym, ile udręki mieściło się dla niego w słowie „Slagelse”.

Lecz trzeba było wracać. Znow nadeszły zimne dni w szkole, nieustanna, twarda praca nad sobą i samotne marzenia o szczęściu snute w małej mansardzie z widokiem na pola i obracające się skrzydła wiatraków.

I właśnie wówczas zaczyna uciekać od nieprzyjaznej rzeczywistości w uroczy świat fantazji. Młodzieńcza wyobraźnia przekształca trudne i niewesołe życie w czarodziejski kraj baśni, gdzie zwierzęta, ptaki, rośliny i przedmioty martwe były lepszymi przyjaciółmi niż otaczający go ludzie. Upokarzany, bezbronny i onieśmielony w swej nadmiernej wrażliwości czuł się jak brzydkie kaczątko zaczepiane przez kaczki, dziobane przez kury, kopane przez służące, które wreszcie zmieniło się w białego łabędzia i pofrunęło daleko na spotkanie pięknych przygód.

Jasnym wspomnieniem z czasów udręki pozostały dla Andersena niedzielne wycieczki piesze, które odbywał zwiedzając wsie i osady leżące w sąsiedztwie Slagelse. Często droga prowadziła go do Söro, gdzie mieszkał znakomity poeta duński, Bernard S. Ingemann. W jego domu znalazł ubogi młodzieniec wiele serdeczności i zainteresowania swym losem. Podczas wakacji spędził tu niejedną szczęśliwą dzień, jeżdżąc wraz z gospodarzem po jeziorze i łowiąc ryby, patrzył w niebo i zwierzał się życzliwemu sobie pisarzowi ze swych literackich marzeń.

Najgorsze wszakże czasy nastąpiły dla Andersena, gdy przeniósł się z Slagelse do Helsingör, gdzie rektor Meisling otrzymał nowe stanowisko w tamtejszym gimnazjum.

Helsingör należy do najpiękniejszych miejscowości Dani. To urocze miasteczko tonące w zieleni, leżące nad rzeką Oresund, po której krążyło mnóstwo

statków i łodzi, pozostawiło w pamięci Andersena najprzykrzejsze wspomnienia. Zamieszkał bowiem w domu rektora, gdzie panował rygor niemalże koszarowy. Pan Meisling mógł teraz i w szkole, i w domu znęcać się nad swym wychowankiem.

„Moje życie w owych dniach - pisze Andersen - wynurza się zawsze przede mną we wspomnieniach jak zły sen... Były to ciężkie, gorzkie czasy, pięć kwartałów spędziłem w domu rektora w Helsingör”.

Szczególny gniew wzbudzały w rektorze wiersze, które pisał Andersen. Gdy pewnego dnia ktoś doniósł, że jego wychowanek napisał utwór pt. „Umierające dziecko”, wezwał Jana Christiana do siebie i łając go surowo za trwonienie czasu zagroził wyrzuceniem ze szkoły.

Jan Christian znosił te dokuczliwości ze strony rektora cierpliwie i w milczeniu i rzadko w listach do pana Collina uskarżał się na swój los.

Pewnego dnia otrzymał jednak list od swego opiekuna, w którym ten każe mu przerwać naukę i wrócić natychmiast do Kopenhagi. Decyzję tę powziął pod wpływem jednego z nauczycieli ze szkoły w Helsingör, który bawiąc w Kopenhadze doniósł mu o cierpieniach jego wychowanka.

SŁAWA

W kwietniu 1827 roku Andersen wraca do Kopenhagi. W domu pana Collina znajduje to czego mu brakowało w Slagelse i Helsingör. Z synami i córkami pana Collina połączyły Andersena więzy niemal rodzinnych uczuć, w przyjaznym klimacie tego domu jego lękliwa nieśmiałość ustępowała wierze we własne siły, a uzdolnienia mogły się rozwijać bez zahamowań budząc nowe nadzieje. Uczył się niezmiernie, przygotowując się do egzaminów końcowych dzięki zaś wstawiennictwu swego opiekuna otrzymał niewielkie stypendium rządowe. Mój więc opłacać prywatnego nauczyciela.

Wreszcie po roku usilnej pracy otrzymuje upragnione świadectwo dojrzałości i zapisuje się na uniwersytet. Bieda, głód i upokorzenie jeszcze i teraz towarzyszą młodemu studentów skromny zasiłek z królewskich funduszy przeznaczonych na popieranie kultury nie zawsze starcza na mieszkanie, książki i wyżywienie. Często musi korzystać, buntując się wewnętrzną z filantropii bogatych mieszczan kopenhaskich.

„Kilka rodzin udzieliło mi miejsca przy swoim stole, stałem się czymś w ro-

dzaju stołownika jak wielu biednych studentów w Kopenhadze...” - pisze Andersen w swej autobiograf!

A ileż było dni, gdy w porze obiadu udawał przed swą gospodynią, że śpieszy do traktierni, w rzeczywistości zaś przechadzał się nad brzegiem morza zając kromkę suchego chleba.

Obok wyteżonych studiów uniwersyteckich rozwija podówczas Andersen ożywioną działalność literacką. Pisze wiersze oraz wiemy swej miłości do teatru tworzy komedie i dramaty Jego pełne humoru i delikatnej ironii utwory poetyckie ukazują się drukiem w piśmie satyrycznym „Latająca Poczta”, jedna z pierwszych zaś jego komedii pt. „Miłość na wieży Św. Mikołaja” albo „Co mówi parter” została przyjęta i wystawiona przez Teatr Królewski dnia 15 kwietnia; 1829 roku. Kiedy w gmachu, spod którego woźny jeszcze nie tak dawno odpędzał obdartego chłopca, rozległy się oklaski i okrzyki „Autor, autor”, Andersen nie mogąc opamiętać łez szczęścia; wymknął się z widowni i nieprzytomny niemal ze wzruszenia biegł przez rojne ulice Kopenhagi.

Latem 1830 roku wyrusza Andersen na dłuższą wędrówkę po swym ojczystym kraju. Zwiedza Jutlandię i Zelandię, przemierza osady i miasteczka rozsiane gęsto wśród wzgórz, lasów rozległych łąk i pastwisk, rozmawia z pastuszkami na polach, z mieszkańcami cichych wiosek z rybakami i marynarzami w portach. Odwiedza wówczas raz jeszcze swe rodzimie strony nad Fionii.

Podczas włości poznał Andersen w mieście Faaborg pannę Riborg Voigt i przeżył swój pierwszy dramat nieodwzajemnionej miłości. Poświęcił swej ukochanej o brązowych oczach wiele wierszy i poematów, które ukazały się drukiem w roku 1831 w zbiorze pt. „Fantazji i szkice”.

Aby rozproszyć smutne nastroje, w których pograżył się młody poeta pod wpływem nie szczęśliwej miłości, nieoceniony jego opiekun, radca Collin, raz jeszcze wyciąga do artysty pomocną dłoń i umożliwia mu wyjazd za granicę, do Niemiec. Andersen w maju i czerwcu roku 1831 zwiedza Góry Harzu, Saksę Szwajcarię, Berlin i zaprzyjaźnia się z niemieckim poetą Adalbertem von Chamisso. Po powrocie drukuje „Sylwetki z podróży”, gdzie zamknął swe wrażenia z pobytu w Niemczech.

W następnych latach Andersen pisze wiersze, między innymi poemat pt. „Dwanaście miesięcy roku”, wydane w 1832r., i nadał tworzy dla teatru, bez większego jednakże powodzenia, Jego droga do sławy była trudna i ciernista, wiele jeszcze musiał przeżyć, zanim zdobył rozgłos: nie oszczędzone mu były cierpienia zranionej dumy i ambicji twórczej, musiał jeszcze przez długie lata

przebijać się przez gąszcz obojętności swych rodaków, znosić złośliwości krytyki, a czasem nawet ostre wypady przeciw sobie i jadowite przycinki, i żarty. Jego sztuki i powieści nie zawsze spotykały się z życzliwym przyjęciem w Danii i nie one rozślawiły jego imię, ale baśnie, te baśnie, które Andersen zaczął pisać traktując je raczej jako wytchnienie po trudach „poważnej” twórczości.

Nie namawiali go początkowo do tej pracy i jego przyjaciele, odradzając mu pisanie tego rodzaju „nieliterackich” utworów. Ale Andersen raz odnalazłszy swe prawdziwe posłannictwo, już nie porzucił swej drogi i obok sztuk teatralnych, wierszy i powieści powstawać zaczęły naprzód nieśmiało, potem coraz częściej andersenowskie baśnie.

Wielkim przeżyciem dla poety była jego pierwsza dłuższa podróż po Europie, jeśli nie Uczyć krótkotrwałego wypadu do Niemiec. W roku 1833 otrzymawszy stypendium znów za wstawiennictwem opatrznosciowego pana Collina wyrusza do Paryża, a stąd przez Szwajcarię do Włoch. Piękno przyrody włoskiej, bogactwo dzieł sztuki, wspaniałe pomniki kultury Rzymu budzą w poecie taki zachwyt i wzruszenie, że nie wystarcza mu już dla ich wyrażenia pióro, sięga po ołówek, zaczyna rysować.

„Stałem się całkowicie rysownikiem i nawet artyści dodają mi otuchy i chwałę moje dobre oko. Tak czy owak ta wielka ilość szkiców, bo ponad sto, to prawdziwy dla mnie skarb, który mi jeszcze w domu sprawi wiele radości. Och, gdybym się był uczył rysunków!” - pisze Andersen.

Widok wspaniałych pałaców Wenecji czy Florencji nie przesłania jednakże poecie prawdy o życiu ludu włoskiego. Po zwiedzeniu starożytnego Paestum pisze poeta:

„Ujrzałem tam biedną, ślełą dziewczynkę, całą w łachmanach, która była taką pięknością jak ożywiony posąg. Wpięła kilka niebieskich fiołków w swe czarne jak węgiel włosy. To była jej cała ozdoba”.

Wspomnienie tej włoskiej dziewczyny ożyje później w baśniach pisanych przez Andersena.

W Rzymie zbliża się Andersen do grupy studiujących tu skandynawskich malarzy i poznaje Thorwaldsena⁴, wielkiego duńskiego rzeźbiarza, z którym połączyła go głęboka przyjaźń, trwająca wiele lat, aż do śmierci artysty. Pamięci tego rzeźbiarza poświęcił Andersen swój piękny utwór pt. „Książka z obrazkami bez

⁴ Bertel Thorwaldsen (1768 - 1844) - sławny rzeźbiarz duński. W r. 1820 bawił w Polsce. Dziełem jego dłuta są pomniki księcia Józefa Poniatowskiego i Mikołaja Kopernika w Warszawie.

obrazków”.

We Włoszech powstaje obok wierszy i dramatów jego autobiograficzna powieść pt. „Improwizator”, dość ciepło przyjęta przez krytykę i przetłumaczona wkrótce na wiele języków europejskich. Wiele momentów z życia poety zawarła również inna napisana po powrocie do kraju powieść Andersena pt. „O. T.”.

Lata pobytu za granicą miały wielkie znaczenie dla rozwoju talentu pisarza. Zapoznał się ze sztuką i literaturą europejską, nawiązał liczne znajomości pośród wybitnych twórców swoich czasów. Ale podczas podróży, we Włoszech, dośięga go bolesny cios. W starym szpitaliku franciszkanów w Odense, tym samym, w którym przebywał jego dziad, umarła matka Andersena. Śmierć matki wstrząsnęła pisarzem, poczuł się jeszcze bardziej samotny na świecie.

W roku 1834 Andersen wraca do Danii. W kilka miesięcy po ukazaniu się „Improwizatora” drukuje mimo oporu przyjaciół swój pierwszy tomik „Baśni, opowiadanych dzieciom”.

„Na nic rady przyjacielskie - pisze Andersen. - Żyłem i obracałem się w kręgu baśni, których tylu nasłuchiłem się w dzieciństwie i w czasie wędrówek po naszych wyspach; nie mogłem się od nich oderwać, me mogłem się oprzeć wspomnieniom dzieciństwa”.

Nie od razu podbiły one Danię, a za nią cały świat. Ale Andersen nie zraża się trudnościami. Osiedla się w głuszy leśnej nad piaszczystym brzegiem jeziora, „gdzie z gęstwiny wybiegały dziki, a boćki stawały na jednej nodze, gdzie panowała cisza nie zmacona najlżejszym gwarem miejskim”.

„Moje baśnie - twierdził pisarz - przeznaczone są zarówno dla starszych, jak i dla dzieci. Te ostatnie rozumieją tylko zewnętrzny tok, a ludzie dojrzały odczuwają ich głębszą treść”.

A w jednym z listów do Jonasa Collina czytamy: „Postawiłem sobie za cel, by stać się poetą dla wszystkich, niezależnie od wieku, naiwność to tylko jedna cząstka mych baśni, humor bowiem stanowi ich sól”.

W roku 1835 ukazał się drugi tomik „Baśni”, w 1837 - trzeci, i odtąd dzieci duńskie pod każdą świąteczną choinką oczekiwały nowej książeczki swego ukochanego pisarza.

Wkrótce baśnie zostały przetłumaczone na wszystkie prawie języki europejskie. Odtąd rozpoczyna się światowa sława Andersena - baśniopisarza. Jego wiersze, poematy, powieści, komedie i dramaty (a napisał ich jeszcze wiele w swym długim życiu) poszły w zapomnienie, a jego baśnie zdobyły serca czytelników spośród różnych ras i narodów od Ameryki po Japonię, Indie i Afrykę i

rozszły imię wielkiego Duńczyka po całym świecie. Poetycki czar baśni andersenowskich zwyciężył wszystkie granice. Przełożono je już na ponad trzydzieści języków, między innymi na chiński, arabski, bengalski, hindi.

Czytają je dzieci, czyta młodzież, czytają starsi. Piękno i prostota języka, miłość do świata i ludzi, gorące współczucie dla pokrzywdzonych i słabych, a nade wszystko siła wyobraźni ożywiającej wszystko dokoła - podbijają czytelników pod każdą szerokością geograficzną. Pełno w nich wspomnień z własnego życia poety, z lat trudnych zmagania ubogiego chłopca z losem. W oczach samego pisarza jego własne dzieje wydają się cudem i baśnią, tak nieprawdopodobną była w ówczesnym świecie droga wiodąca od nędznej izby szewca-łaciarza do zamków i pałaców magnackich, gdzie przyjmowano sławnego autora z otwartymi rękami. Tak też ujmie pisarz swoją historię w książce autobiograficznej pt. „Baśń mego życia”.

Cechą wspólną andersenowskich baśni jest głęboki humanitaryzm i wrażliwość na krzywdę, a nawet rzewne współczucie dla przedmiotów martwych, które ożywia fantazja nadając im cechy człowiecze. Andersen wnika głęboko w duszę człowieka, dostrzega wszystkie jej zalety i wady. Z właściwą sobie subtelną ironią ośmiesza plotkarzy, pyszałków, skąpców, chytrych bogaczy i zarozumiałych głupców, odsłania fałsz i zakłamanie panujące na królewskich dworach, piętnuje służalstwo dworzan, obojętność i pychę władców, egoizm posiadaczy i przeciwstawia im męstwo, szczerłość, dobroć i szlachetność ludzi prostych. Bliki mu jest smutek i ludzkie cierpienie, każda jego baśń przepojona jest żywym współczuciem dla nieszczęśliwych, poniżonych i uciśnionych.

W świecie jego baśni bohaterami są przeważnie ludzie biedni, którzy poznali w życiu głód, nędzę i poniewierkę. Serce pisarza, który sam od dzieciństwa tak twardo borykał się z losem, czułe jest szczególnie na dolę bezbronnych istot, narażonych na ciosy życia. Dlatego też tyle ciepła i rzewnych myśli poświęca dzieciom, sierotom, starcom. W baśni jego, jak zawsze w twórczości ludu, sprawiedliwość w końcu zwycięża i dobro tryumfuje, a zło otrzymuje zasłużoną karę.

Większość baśni Andersena związana jest z codziennym życiem ludzi, z ich troskami, radością, niepokojem, umie on bowiem w sposób sobie tylko właściwy łączyć fantazję z rzeczywistością i przeplatać je wzajemnie, rozpinając nad wszystkim czarodziejski welon poezji.

Pisarz lubił opowiadać swe baśnie dzieciom, wiele z jego utworów zrodziło się właśnie podczas takich bezpośrednich zetknięć z młodymi słuchaczami. Syn Jonasa Collina, Edward, notuje w swoich wspomnieniach o Andersenie:

„Pośród kół, w których obracał się codziennie, były oczywiście dzieci, im też poświęcił wiele czasu opowiadając przeróżne historie, które bądź to w danej chwili sam wymyślał, bądź powtarzał ze znanych baśni. Niezależnie od tego, czy opowiadał własne, czy cudze, czynił to tak żywo i ciekawie, że dzieci były nim zachwycone - słowa toczyły się nieprzerwanie, swobodnie, zdobne w bogactwo zwrotów językowych, a podkreślał je mimiką bliską dziecięcym umysłom. Nawet w najbardziej zwyczajne zdanie potrafił on tchnąć życie. Nigdy np. nie mówił: »Dzieci wsiadły do wozu i pojechały«, ale zawsze rozpoczynał: »A więc wdrapały się na wóz. Bądź zdrów, ojcze, żegnaj, matko! A bicz klasnął «klicz, klacz» i pojechały hen, daleko...«”.

Przyszedł czas w jego życiu, gdy mógł opowiadać swe baśnie dzieciom królów i książąt, którzy zapraszali sławnego pisarza na swe dwory. Największe rody magnackie w Danii uważały za zaszczyt goszczenie Andersena w swych zamkach, wiele miesięcy w roku spędzał on na przykład w wielkopańskich siedzibach duńskich w Lykkesholm i w Glorup na Fionii, w Nysoi Bregenstred na Zelandii, w Basnaes i w Holsteinborg, rozkoszując się pięknem przyrody, a nade wszystko spokojem i ciszą, które sprzyjały jego pracy literackiej.

Właściwie nigdy nie osiedlił się na stałe, pozostał zawsze samotny, choć miał setki oddanych przyjaciół, zadowalał się skromnymi pokoikami w hotelach i pensjonatach, a kupno własnego łóżka napawało go przerażeniem, bał się bowiem, że własne meble i mieszkanie przykują go do jednego miejsca. Jego namiętnością stały się podróże.

„Podróżować to żyć” - mawiał Andersen porównując się do wędrownego ptaka, który tysiące mil przelatuje w pogoni za słońcem i ciepłem. Był chyba jednym z niewielu Duńczyków swoich czasów, który tyle podróżował. Nie było państwa w Europie zachodniej, którego by nie zwiedził, wielokrotnie bywał w Szwecji i Norwegii, w Niemczech, we Francji i Szwajcarii, pojechał do Portugalii i Hiszpanii, odbył wycieczkę na Wschód, poznał Turcję i Bałkany, oglądał ruiny Akropolu w Grecji, zachwycał się krajobrazem Sycylii, zachodami słońca na Morzu Śródziemnym i barwnym rojowiskiem wschodnich bazarów. Jego notatniki i wrażenia z tych wędrówek po świecie publikowane co kilka lat w Danii świadczą o jego wielkiej wrażliwości na piękno natury i sztuki i wskazują na jego rozległą wiedzę i dużą zdolność obserwacji życia.

Nie zapominajmy, że Andersen wiele swych podróży odbywał jeszcze w staroświeckim dylizansie, dopiero bowiem od lat czterdziestych mógł korzystać z do-

brodziejstw kolei żelaznej. Kiedy po raz pierwszy wsiadał w Niemczech do pociągu, zawołał z zachwytem: „Teraz dopiero wiem, co to jest ciąg ptaków, teraz dopiero rozumiem, co to znaczy przemierzać ziemię!”

Wierzył w postęp, cieszył go każdy wynalazek ludzkiego umysłu, który służył dobru powszechnemu.

Kiedy Louis Jacques Daguerre⁵ odkrył w 1838 roku zasady fotografiki, Andersen oglądając swe zdjęcie pisze do przyjaciela: „Cóż pan powie o wynalazku Daguerra? Jestem nim zachwycony. Jakże łatwo będzie nam w przyszłości utrwalić zdjęcia najwspanialszych pomników, obrazów i najpiękniejszych miejsc na świecie!”

Podczas swych podróży nawiązywał znajomości z najwybitniejszymi ludźmi swej epoki, w Paryżu poznał Balzaka i Aleksandra Dumasa, w Niemczech wielkich kompozytorów Liszta i Wagnera, był przyjacielem filozofów, artystów i uczonych na całym świecie.

Podczas pobytu w Anglii odwiedził wielkiego powieściopisarza Dickensa, który zawsze z wielkim podziwem wyrażał się o jego baśniach. Autora „Dawida Copperfielda” ujmował andersenowski łagodny humor i śmiech przez łzy, zbliżyły zaś tych twórców właściwa im obu miłość człowieka i głęboka wrażliwość na ludzką krzywdę.

Z każdym rokiem wzrastała sława Andersena, otaczała go miłość i cześć rodaków, i podziw cudzoziemców. Jego rodzinne miasteczko Odense, które widziało pierwsze kroki małego marzyciela, nadało wielkiemu pisarzowi obywatelstwo honorowe. W dniu 23 listopada 1867 roku przeżył tu Andersen wzruszające chwile. Jasno iluminowane domy i ulice, nieprzeliczone tłumy ludzi, które tu ściągnęły z najdalszych okolic, i dzieci, setki dzieci, które wieńcami, kwieciami i śpiewem witały swego poetę. Otoczony dziećmi, do późna w noc musiał im opowiadać swe baśnie. Łzy stanęły w oczach starego pisarza, gdy słyszał, jak jeden z zasłużonych ojców miasta, Petersen, mówił do zgromadzonych:

„Przed niespełna pięćdziesięciu laty opuścił biedny chłopiec swoje miasteczko rodzinne, by rozpocząć walkę. Wyjechał cicho i niepostrzeżenie, gdyż nie był nikomu znany i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tylko dwie kobiety, matka i babka, odprowadziły go daleko, a ich życzenia i modły towarzyszyły mu w wędrówce. Teraz Andersen odniósł zwycięstwo. Oto stoi przed nami szanowany i

⁵ Louis Jacques Mandé Daguerre (czyt. Dager; 1789 - 1851) - malarz francuski, w r. 1838 wynalazł sposób utrwalania zdjęć, stąd dawna nazwa fotografii - dagerotyp.

czczony przez królów i książąt i, co ma większe znaczenie, kochany i podziwiany przez swych rodaków, obywateli Danii”.

Kilka miesięcy przed zgonem pisarza cały kraj obchodził uroczyste siedemdziesięciolecie jego urodzin, oddając hołd swemu wielkiemu obywatelowi. Do ostatniej chwili życia Andersen tworzył, a gdy nie mógł już pisać, dyktował swej starej przyjaciółce i wielbicielce pani Melchior, żonie znanego kupca w Rørlighed. Właśnie podczas pobytu w domu tej serdecznie mu oddanej rodziny zmarł dnia 4 sierpnia 1875 roku. Całą Danię okryła żałoba.

Pośród niezliczonych telegramów, wieńców i kwiatów od dworu królewskiego, od mieszkańców Danii i przyjaciół zagranicznych, od dzieci całego świata widniał jeden skromny napis, który w kilku słowach powiedział najgłębszą prawdę o wielkim baśniopisarzu:

*Ty żyjesz, chociaż martwe masz powieki,
Bo w sercach dzieci trwać będziesz na wieki.*

ANNA MILSKA

